

WIADOMOŚCI ILUSTROWANE.

№ 25.

Wilno, 22 czerwca (5 lipca) 1914 r.

Rok II.



Franciszek Ferdynand,
austriacki następca tronu zabity w Serajewie
dnia 15 (28) czerwca.



Franciszek Ferdynand i żona jego ks. Hohenberg, zabici w Serajewie; obok dzieci, z których najstarsze liczy lat 13. Ponieważ matka ich nie pochodziła z domu panującego, nie mają prawa do tronu.

Zabójstwo w Serajewie.

W niedzielę, dnia 15 (28) bieżącego miesiąca w stolicy Bośni Serajewie, padł od kuli rewolwerowej austriacki następca tronu wraz z żoną. Zabójcą jest Gawryło Princicz, serb, uczeń 8 klasy gimnazjum miejscowego. Jakkolwiek Princicz dowodzi, iż działał na własną rękę, bez porozumienia z kimkolwiek, nie ulega wątpliwości, że na życie Franciszka Ferdynanda był przygotowany spisek. Bomba, którą poprzednio rzucono w arcyksięcia, zarówno jak i inne znalezione na ulicy, placie kolejowym i w mieszkaniach aresztowanych, wskazują na pochodzenie z serbskich rządowych fabryk pocisków wybuchowych. Osoby aresztowane mają również świadczyć o tem, iż spisek był uplanowany w stolicy Serbji — Białogrodzie. Prasa wiedeńska, jako na winowajcę mordu, wskazuje rząd serbski. Przypominają, że jeden z dzienników białogrodzkich „Nowosti“ pisał w dzień przyjazdu arcyksięcia na manewry do Bośni: „Jeśli Franciszek-Ferdynand jest ciekaw poznać Bośnię,

niech się śpieszy, bo ma do tego ostatnią sposobność“.

Przedwczesna śmierć Franciszka-Ferdynanda jest wypadkiem olbrzymiej doniosłości nie tylko dla Austro-Węgier, lecz i dla całej polityki europejskiej. Zmarły następca tronu nie był jedynie kandydatem do korony cesarskiej. Wskutek sędziwych lat Franciszka-Józefa synowiec jego przyjmował już czynny udział w pełnieniu obowiązków monarszych. Wprawdzie nie miał on jeszcze władzy całkowitej, musiał ulegać w wielu wypadkach woli cesarza, ale zawsze wpływ arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda na politykę austriacką był duży, szybko wzrastał. Dla nikogo nie było tajemnicą, że zmarły nosił się z zamiarem skierowania polityki monarchji habsburskiej na nową drogę. To właśnie stało się powodem tragicznego zgonu następcy tronu i jego małżonki. Plany tego czło-



Nowy następca tronu, Karol-Franciszek-Józef w wieku lat 26 z żoną arcyks. Zytą Parmeńską (lat 22) i dziećmi, Ottonem-Franciszkiem-Józefem ur. w r. 1912 i Adelajdą ur. w 1914 roku.

wieka były groźne dla Serbji. Dlatego stamtąd przyszła myśl, a być może i plan, i broń do wykonania zamachu morderczego.

Austro-Węgrom już od lat wielu przepowiadają przyszłość podobną do losu Polski, którą w końcu XVIII wieku rozebrały sąsiednie mocarstwa. Monarchja Habsburgów ma za sąsiadów cały szereg państw, z których każde czeka odpowiedniej chwili, by rozszerzyć swe granice przez zabór ziem podległych dziś koronie austriackiej. Z tych sąsiadów dwa mocarstwa, a mianowicie Niemcy i Włochy pozostają z Austro-Węgrami w przymierzu; pomimo to nie jest dla nikogo tajemnicą, że Włosi chcą odebrać Austro-Węgrom całe wybrzeże morza Adryatyckiego, a Niemcy marzą o rozciągnięciu władzy pruskich Hohenzollernów na Wiedeń i Budapeszt. Pozostająca do niedawna w przyjaźni z Austro-Węgrami Rumunja, teraz też coraz więcej mówi o ciężkiej doli ludności rumuńskiej, zamieszkującej dosyć duży obszar Węgier. Do otwartych wrogów monarchji Habsburskiej należą Serbja i Rosja. Ta ostatnia pragnie przyłączyć do swych posiadłości Galicję Wschod-

nią. Serbja zaś zamierza odebrać Austro-Węgrom sąsiednie kraje, zamieszkałe przez ludność serbską i chorwacką.

Jednocześnie każde z tych państw stara się ciągnąć w swoją stronę ludność pokrewną. Włochy podburzają przeciw rządowi austriackiemu ludność włoską, której kilkaset tysięcy mieszka na południu Austrii. Hohenzollerni opierają swe nadzieje na pomoc Niemców austriackich, zorganizowanych w stronnictwo wszechniemieckie. Rumunja zyskuje coraz większy wpływ na ludność rumuńską na Węgrzech. Serbja prowadzi wśród serbów i chorwatów w granicach Austro-Węgier agitację, zniechęcającą do dynastji Habsburskiej i stara się obudzić pragnienie przejścia pod panowanie królów serbskich. Rosja pracuje nad rozszerzeniem prawosławia i przywiązania do siebie wśród ludności ruskiej w Galicji Wschodniej i na Węgrzech.

Wszystko to razem wzięte grozi ruiną Austro-Węgrom. Rozumiał to doskonale zmarły arcyksiążę Franciszek Ferdynand i zmierzał do tego, by śmiałą i energiczną polityką zniszczyć najgroźniejsze źródła nieszczęść dla Austro-Węgier.

Przeciwno wszechniemcom popierał stronnictwo chrześcijańsko-społeczne. Zwalczał dążenia włoskie do rozszerzania wpływów na południu monarchji, gnębił agitację serbską i rosyjską. Opierając się na przymierzu z Niemcami i Włochami, zamierzał Franciszek Ferdynand rozprawić się z Rosją i Serbją. W tym celu zajął się gorliwie wzmacnianiem potęgi wojskowej swego państwa. Miał nadzieję, że w wojnie z Serbją zyska pomoc katolickich Chorwatów i Słowenów. Chciał dla tych narodów utworzyć odrębne państwo, złączone unją z Austro-Węgrami. Te plany właśnie były najgroźniejsze dla Serbji i stały się powodem zamachu na życie Franciszka Ferdynanda.

Od czasu, jak ludność polska pod panowaniem austriackim zyskała uznanie dla swych praw narodowych i swobodę rozwoju, naród nasz nigdy źle nie życzył monarchji Habsburskiej. Polacy z Galicji popierali politykę, zmierzającą do wzmocnienia Austro-Węgier, aby przez upadek tego państwa nie popsuć swej doli. Dlatego zmarły Franciszek Ferdynand nie miał wroga w ludności polskiej. Ale, trzeba również dodać, nie mieliśmy w nim przyjaciela. Franciszek Ferdynand pozostawał pod wpływem najgorszego wroga narodu naszego, cesarza Niemiec, Wilhelma II. Dwóch tych ludzi łączyły stosunki serdecznej przyjaźni. Hakiatyści niemieccy otaczali następcę tronu swemi doradcami. Wskutek tego wielkie plany Franciszka Ferdynanda nie obiecywały korzyści dla naszego narodu. Gdyby się powiodły, zyskaliby na tem Rusini i południowi słowianie. Jeśliby doprowadziły Austro-Węgry do ruiny, Polacy w Galicji straciliby te prawa i wpływy, jakie posiadają obecnie.

Przez śmierć Franciszka Ferdynanda dotkliwy cios otrzymał sędziwy monarcha austriacki, Austro-Węgry straciły energicznego władcę, a cesarz niemiecki—przyjaciela.



Ks. Wied robi przegląd uzbrojonych mirydytów, za nim z lewej strony idzie pułkownik holenderski Thomson, zabity przy oblężeniu Durazzo.



„Bo nasza ziemia nie w Litwie się kończy!...“

...Śpiewałem najprzód moją Litwę drogą,
 Jej pola, wioski, jej lud uznojony,
 Jej ciche dworki, kościołki, cmentarze,
 Jej uroczyste i powszednie chwile;
 Chciałem się wpatrzeć w jej praojców twarze,
 Wsłuchać się w serca, co już śpią w mogile.
 Co oko zajrzy, co ucho podślucha,
 Brałem do serca: widoki i dźwięki,
 Potem z krwią serca, z ogniem mego ducha
 Rzuciłem na świat w postaci piosenki,
 Bóg ją przeżegnał, Litwa wysłuchata...
 Ale, ziomkowie! zasługa w tem mała,
 Bo nasza ziemia nie w Litwie się kończy.
 Nasza rodzina przy Dniestrze, przy Wiśle,
 Gdzie płynie Warta, gdzie Karpaty dymią...
 Więc całą ziemię pragnąc poznać ściśle,
 Wziąłem kij w rękę i sakwę pielgrzymią
 I, jak ów żebrak, co z wioski do wioski
 Idzie o kiju za chleba kawałem —
 Tak ja, zwiedzając nasz kraj pradziadowski,
 Święty chleb ducha do mej piersi brałem.
 Bo ziemia nasza piękna, pamiątkowa,
 Jak może nie jest żadna ziemia świata.
 Tysiące skarbów w swoim łonie chowa,

Tysiące wspomnień nad jej czołem lata.
 W każdym kamyku, w każdej garści piasku,
 W każdej cegielce rozwalin i zgliszczy
 Pełno świętego przeszłości odbłasku —
 Jak w małej kropli całe słońce błyszczy.
 Jadłem gościnnie chleb z Wielkopolany
 I piłem wodę goplańską w Kruszwicy;
 Słuchałem, łzami rzewnymi zalany,
 Jak w Gnieźnie pieją pieśń „Bogarodzicy“.
 Zwiedzilem mury starego Wawelu,
 By się pokłonić świętym prochom króli;
 Byłem, gdzie kraju kolebkę zasnuli
 Władcy ziem wielu i plemion tak wielu.
 Z wysokich Tatrów wyteżyłem oko,
 Gdzie nasza cała kraina zalega,
 Ale jej przestrzeń nadto jest szeroką:
 Końca nie widać od brzegu do brzegu...
 Przetom ją skupił całą w moje łono:
 Czem jest w tej chwili, czem była przed laty...
 Z mojej pielgrzymki powracam bogaty,
 Bo skarbem wspomnień mam pierś wzbogaconą...

Władysław Syrokomla.

Ojczyzna Syrokomli.

Utarł się oddawna pogląd na twórczość Syrokomli, jako gawędziarza sielankowego, zaściankowego, ogromnie „tutejszego“. Wiadomo powszechnie, że poeta Warszawy nie lubił, podróżował bardzo mało, że serce jego ani wzrok nie wychylały się po za litewskie strony. Niektórzy posuwali się nawet tak daleko, że odmawiali Syrokomli polskości, dowodząc, że rodowitym jego językiem winien być białoruski, że tworzył on po polsku tylko przez nieporozumienie, brak uświadomienia.

Wydana obecnie przez W. Korycińskiego z rękopisu Syrokomli „Podróż swojaka po swojszczyźnie“ rzuca nowy promień światła na głęboki i świadomy patriotyzm „wioskowego lirnika“. W „Podróży swojaka“ opisuje poeta swoje wrażenia z wycieczki do Wielkopolski — do Poznania, Kruszwicy, Gniezna, nad Gopło. Najbardziej cennie mi w tych opisach, prócz wiadomości z tamtej dzielnicy, są słowa głębokiej miłości, z jaką witał Syrokomla historyczne miejsca swojej wielkiej Ojczyzny. Czyż mógł Syrokomla, gdyby się nie czuł wiernym synem Polski, tak cieszyć się na myśl, że przywiezie garsteczkę ziemi, deptanej stopami Świętych, Chrobrych i Sprawiedliwych, że usłyszy pieśń „Bogardzica“, że stęsknionemi oczyma spojrzy na kolebkę swego narodu — Wielkopolskę?

Kraj swój, piękny, bogaty, patriarkalny pragnął poznać w całości Syrokomla. Poznawanie ziemi polskiej było chlebem odżywczym dla starganej wysiłkami życiowymi duszy naszego pieśniarza. Widział i odczuwał on krzywdę, jaką wyrządzają krajowi ojczystemu ci, co jadają szukać pięknych widoków, podniosłych wrażeń zagranicę, gardząc własnymi. Gorzkie słowa podyktowało Syrokomli lekkomyślne gonienie naszej inteligencji ziemiańskiej i arystokracji za wszystkim co obce, co może przedewszystkiem zadowolić próżność.

Jakkolwiek słowa te były pisane przed pół wiekiem, nie straciły bynajmniej ani żywotności, ani prawdy, nawet obecnie na Litwie, tak serdecznie przez Syrokomlę ukochnanej, więcej niż dawniej można znaleźć faktów na potwierdzenie słuszności ich. Dlatego też dzisiaj, słowa te pełne myśli obywatelskiej i troski o dobro społeczeństwa swego, zamieszczamy:

„Podróż stała się dzisiaj hasłem mody; podróż stała się niejednemu potrzebą ducha, potrzebą zdrowia, potrzebą nauki, potrzebą wrażeń, potrzebą próżniactwa, potrzebą tego wszystkiego potrosze. Pchnięci mniej więcej określoną potrzebą podróżowania, jedziemy wszyscy lub marzymy o podróżach, zazdroszcząc podróżującym.

Jak skoro wiosenne słonko pocnie roztopiać śniegi, już poczynamy układać nasz podróżny tłómczek, uprzykrzać się władzom o pasporty, przemyśliwać nad środkami zdobycia grosza i rozmarzać się czytaniem podróży.

Podróżujmy zdrowi, dopóki nie spowszedniało rzemiosło pielgrzymów! Jedźmy zwiedzać Wschód i Zachód, nim one do nas koleją żelazną nie przyjadą. Rzucajmy na całe lato nasze sianokosy i żniwa, aż nim francuz, anglik, a nade wszystko niemiec nie przyjadą eksploatować naszych pól i sianożęci, naszych lasów, rud żelaznych i torfowisk i w oczach naszych wzbogacać się naszymi bogactwami!

Pędźmy podziwiać piękność wybrzeży Renu, majestatyczność Alp, leczebność wód pirenejskich, nim się dowiemy z albumu i przeglądów (*Revue*) zagranicznych o bogatych pięknościach wybrzeży Niemna, Wilji, Wisły, Warty i Dunajca, o majestacie gór Karpackich, o własności wód druskienickich, ciechocińskich, buskich i szczawnickich! Na wszystko przychodzi właściwa kolej: nim nasz kraj stanie się modnym w Europie, jedźmy, jak Dumas, odkrywać morze Śródziemne! Wszak na obejrzenie się wokoło siebie zawsze jest pora.

Ej! nie zawsze, kochani czytelnicy! Pora może przeminąć. My je-

dziemy, aby bezmyślnem okiem podziwiać Zachód, a Zachód wybiera się w podróż po nasze żywotne soki. Kiedy germańczyk zagarnia dochód z twojego morga, kiedy brytańczyk z przed oczu ci porwie twój handel i przemysł, kiedy frank wyda u Lemercier'a i każe ci grubemi pieniędzmi opłacać widok twojej własnej wioski w górach lub rzeki, kiedy nawet twój dobry, poczciwy arendarz lcek odmówi ci kredytu — pomądrzysz, podróżniku polski, ale będzie to mądrość po szkodzie...“

Ofiara „ucisku polskiego“.

W końcu maja odbyła się w wileńskim soborze prawosławnym niezwykła uroczystość przyjęcia na łono cerkwi byłego księdza katolickiego. Jest nim litwin z powiatu poniewieskiego Feliks Mingin, którego w r. 1889 wyświęcono w Kownie na kapłana.

Obzędowi w soborze nadano wyjątkową okazałość. Matką chrzestną nawróconego na prawosławie



Feliks Mingin, ksiądz katolicki który przeszedł na prawosławie.

księdza katolickiego była żona gubernatora wileńskiego; ojcem — doktor Michajłow, zięć senatora Karnowicza, starszego prezesa wileńskiej izby sądowej.

Jako powód zmiany wyznania Mingin przedstawia „ucisk polski“ w kościele katolickim.

Ciekawe są dzieje kapłańskie działalności ks. Mingina, podane w „Kurjerze Litewskim“.

Po wyświęceniu mianowany został wikarym w Żyżmorach, gdzie przebył do r.

STRAJKI i ZABURZENIA we WŁOSZECH.



Wojsko zajęło ruiny Coliseum.

1891. w którym został filjalistą w Przyjaźni. W roku następnym został proboszczem w Subotnikach, w 1894 w Kiernowie, w 1897 w Zablociu, w 1900 w Hnieźnie i w 1903 w Pohościu. Przez ten czas napływały na niego skargi za rozmaite nieporządki w sprawach pieniężnych, tak, że kilkakrotnie zatrzymywano mu pensję na opłacenie długów. W r. 1906 ks. Mingin zostaje filjalistą w Hudogaju i stąd już zaczynają napływać skargi parafjan na niespełnianie obowiązków duszpasterskich, na niejeżdżenie do chorych, na odmowę spowiedzi i chrztu, łajanie i nawet bicie zwracających się do niego. Skargi tego rodzaju są w dalszej karierze ks. Mingina zjawiskiem częstym. W r. 1909 władza duchowna przeniosła go do Łużek na proboszcza, a następnie na filjalistę do Koszedar.

W październiku r. 1910 z powodu skarg parafjan wyznaczone było śledztwo duchowne, które stwierdziło, że istotnie ks. Mingin zaniedbywał obowiązki duszpasterskie, zwłaszcza zaś nie jeździł do chorych, bił parafjan, budowy kościoła nie prowadził i t. d. W styczniu r. 1911 wysłane było z Wilna nowe śledztwo, które stwierdziło, że ks. Mingin pozostaje w stosunkach gorszących z gospodynią itd. Władza duchowna na skutek raportów śledczych skazała ks. Mingina na rekolacje, po których odbyciu wysłała go już na wikarego najprzód do Iwja, niebawem zaś do Ejszyszek pod szczególny dozór miejscowego proboszcza. W marcu tegoż roku wpłynęła skarga na niego od dawnych parafjan hudogajskich, że zabrał ornaty, nie zdał rachunków pieniężnych i buntuje parafjan przeciwko swemu następcy.

W czasie pobytu w Ejszyszkach ks. Mingin, jak się zdawało, poprawił się. to też w końcu grudnia tegoż roku mianowany został proboszczem w Kościeniewiczach. Ale już w czerwcu parafjanie oskar-

żyli go, że nie jeździ do chorych, którzy nieraz umierają bez sakramentów, że interesantów laje, a nawet bije, oddaje się pljaństwu i t. d. Śledztwo stwierdza prawdziwość skarg i dochodzi do przekonania, że ks. Mingin niezdolny jest do pracy, a w żadnym razie nie może zajmować samodzielnego stanowiska. Wobec tego ks. Administrator w lipcu 1912 r. przenosi ks. M. na wikariusza do kościoła Franciszkańskiego w Grodnie.

Atoli w drodze do Grodna ks. Mingin zatrzymuje się w Wilnie i tu dwukrotnie dopuszcza się publicznego gorszącego skandalu. Wobec tego zastępca ks. Administratora, ks. Bajko, pozbawia go wikariatu, zasuspendowuje i wtrąca do klasz-

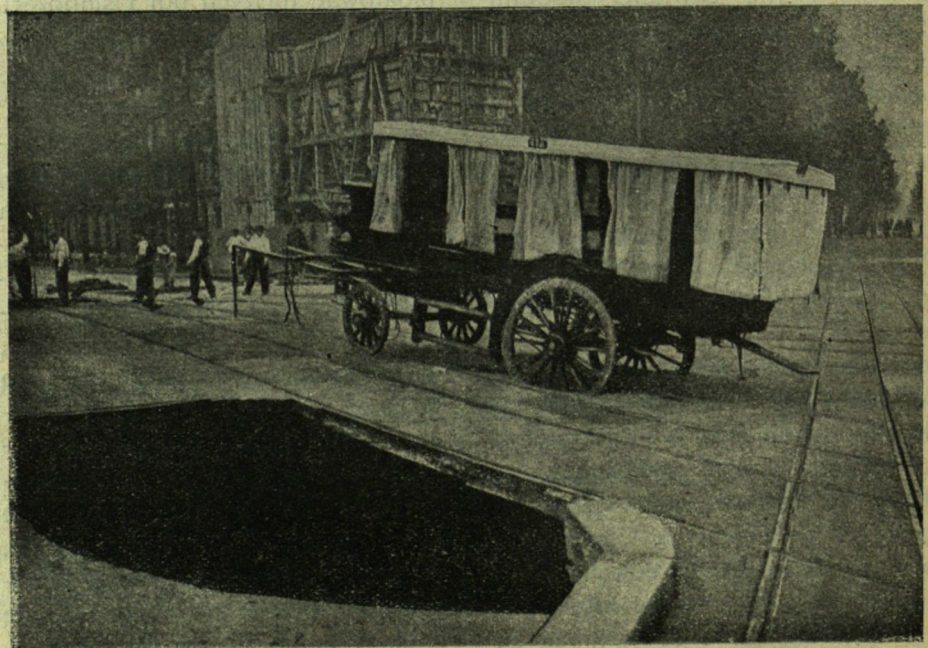


Aresztowanie manifestanta.

toru na ciężką pokutę. Po paru miesiącach ks. Mingin solennie obiecuje poprawę i otrzymuje prawo odprawiania Mszy św., a w styczniu r. 1913 mianowany zostaje znowu wikarym u Franciszkanów w Grpdnie, w marcu zaś przeniesiony od Dżisny w charakterze również wikarego. Atoli już w listopadzie tegoż roku wynika nowa sprawa, gorsza od wszystkich poprzednich. Śledztwo wykazało, że ks. Mingin doprowadził do rozpusty małoletnią dziewczynkę, korzystając z jej nieświadomości i uciekając się do haniebnych środków. Wyczerpała się wówczas cierpliwość władzy duchownej i w dn. 24 stycznia r. b. ks. Mingin, jako uporczywy i niepoprawny, zasuspendowany został na zawsze i skazany na pokutę w klasztorze.

Ks. Mingin władzy duchownej nie usłuchał i do klasztoru nie pojechał, natomiast przeszedł na prawosławie,

KATASTROFA w PARYŻU.



Otwór, który się gwałtownie rozwarł na placu św. Augustyna pochłaniając w swych czeluściach autobus z pasażerami.

CZEMŻE JA JESTEM?

CZEMŻE JA JESTEM? PROCH CZY ROZBITEK
WŚRÓD TEGO ŚWIATA BEZ GRANIC?
JAKI I KOMU Z DNI MYCH POŻYTEK?
CZYM DLA NIKOGO I NA NIC?

NIE JESTEM WIĘCEJ, NIŻ TO DRZEW PLEMIE,
I WIĘCEJ BYĆ MI NIE TRZEBA,
JENO, BYM WRASTAŁ STOPAMI W ZIEMIĘ
I DAŻYŁ CZOLEM DO NIEBA.

NIE JESTEM WIĘCEJ, NIŻLI TA BRZOZA,
KTÓRĄ W POWIETRZU KOŁYSZE
NIEPOKÓJ KWIETNIA I GRUĐNIA GROZA,
I MAĆI TAJNĄ JEJ CISZĘ.

JESTEM, BYM STROJNY W WIOSNY ODZIEENIE,
SŁAŁ ŚPIEWNY POSZUM W MANOWCE,
A W LECIE RZUCAŁ CZOLEM SWEM CIEENIE,
W KTÓRYCH DUMAJĄ WĘDROWCE.

JESTEM, BYM GNIEŹDZIŁ W GAŁĘZIACH PTAKI,
RZADKIE ZBLĄKANVCH TĘSKNICE,
CO MNIE ODLECAJĄ SVOIMI SZLAKI,
KIEDY MNĄ WSTRZĄSNĄ WICHRZYCE.

JESTEM, BYM Z ŻYWVCH SOKÓW ZRODZONE,
Z NAJGLĘBSZYCH MOICH KORZENI,
LIŚCIE UTRACIŁ, DUMNĄ KORONĘ,
GDY PRZYJDZIE PORA JESIENI.

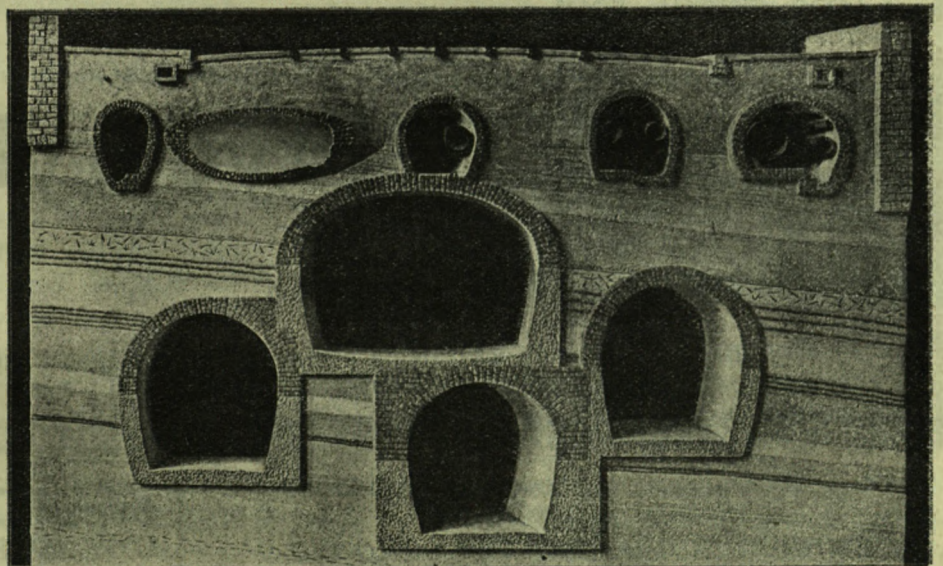
I BYŚCIE, GDY WAS SMĘTEK PORUSZY,
LIŚĆ DEPCĄC W WIATRU POŚWIŚCIE,
CZULI: „JAK GORZKO, JAK SŁODKO W DUSZY,
GDY U STÓP SZUMIĄ NAM LIŚCIE“.

LEOPOLD STAFF

Nowe źródło katastrof.

W tych dniach stolicę Francji nawiedziła niezwykła burza, połączona z oberwaniem się chmury i spowodowała niespodziewane wcale katastrofy.

Jak wiadomo, w Paryżu przeprowadzają nową linię kolei podziemnej, wobec tego całe miasto przeprute jest licznymi przekopami. Z powodu wielkiej ulewy ziemia na bulwarze Hausmana została podmyta i zawałiła się nad linię kolei podziemnej, pochłaniając kjosk z gazetami. Położenie stało się tem niebezpieczniejsze, iż niektóre domy mogły również zapaść się. Zjawisko to powtórzyło się w wielu miejscach. Atoli największa katastrofa nastąpiła na placu św. Augustyna, gdzie w czeluściach rozwartej ziemi zniknął autobus,



Typowy przekrój pionowy jednej z ulic Paryża, pokazujący otwory dla kanalizacji kolei podziemnych.

przepelniony pasażerami. Widok ten wywołał niezwykły popłoch wśród przechodniów, którzy poczę-

li uciekać, lecz ziemia podobno podmyta nową falą wody usuwała się z pod nóg ich.

W innym miejscu woda pękniętej rury wodociągowej utworzyła w chodniku otwór, który począł z szybkością rozszerzać się, pociągając za sobą licznych przechodniów.

Ogólna liczba ofiar tymczasem nie wiadoma.

Powodem katastrofy, jak wspomniano, są liczne przekopy, przechodzące pod Paryżem, oraz zbyt nie obciążenie terenu budowlami. Katastrofy te mogą powtarzać się stale, o ile nie będą przedsięwzięte przeciwko temu odpowiednie środki.

Z pism.

Jak się dochować pięknej krowy? Napisał R. Mojkowski, lekarz weterynarii. Cena 35 kop.

W książce swej, bardzo przystępnej ze względu na przejrzystość wykładu i prostotę stylu, oraz niską cenę, p. R. Moj-

kowski, lekarz weterynarii w Grodzisku, ziemi Werszawskiej, oddał rzetelną przysługę naszym drobnym gospodarzom rolnym. Kwestja hodowli ma pierwszorzędne znaczenie ekonomiczne. Gospodarstwa hodowlane oraz mleczne przynoszą olbrzymie, milionowe dochody, nawet na bardzo lichych gruntach: przykładem — Danja. Ale do takiego wzbogacenia się jest koniecznie potrzebna oświata i wytrwała praca. My tymczasem „jesteśmy mało pracowici, nieporządni, do nauki czytania nie mamy zamiłowania, tracimy większą część życia na próżniactwie, gawędach niepotrzebnych, włączeniu się po jarmarkach, nic więc dziwnego, że zasobni w inwentarze i pieniądze być nie możemy“. Gorzkie są te słowa p. Mojkowskiego, ale prawdziwe!

Ze względu na długoletnią i bardzo rozległą praktykę posiada p. Mojkowski znajomość stanu naszej hodowli. Widząc jej braki, płynące w pierwszym rzędzie z ciemnoty, opieszałości, pragnie w miarę możności skierować naszych hodowców, przedewszystkiem na małych gospodarstwach, na drogę racjonalną i zyskową. W tym celu wydał swoją pouczającą książeczkę. Podaje ona dokładne

wiadomości, jakie cieleta należy do chowu wybierać, jak je żywić w różnych porach roku od urodzenia aż do zupełnej dojrzałości, wylicza i wskazuje sposoby i warunki w jakich najpewniej i najtaniej można się dochować pięknego i dochodowego inwentarza. Wykład cechuje znajomość rzeczy wytrawnego fachowca, a według słów specjalistów, pracujących w tej dziedzinie przy towarzystwach rolniczych na Litwie, książka ta zapełni dotkliwą lukę. Brak bowiem było dotychczas popularnie i naukowo podanych wiadomości o hodowli krów. Wobec tego książka p. Mojkowskiego zasługuje na jaknajszersze rozpowszechnienie.

Odpowiedzi Redakcji.

W-ny p. Dubiel w Częstochowie. Pieniądze otrzymane.

W-ny p. Prokopowicz w Turgielach. Wszystkie numery wysyłał mi najregularniej, prosimy sprawdzić na poczcie, obecnie wysłany cały komplet powtórnice



TRIOŁAN mydło przetłuszczone hygieniczne, jedyne rzeczywiście udelikatniające cerę, uznane i polecane przez najpierwsze powagi lekarskie.

Tow. Akc.

Fryderyk Puls

w Warszawie.

Dostać można we wszystkich perfumerjach, aptekach i składach aptecznych.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na drugie półrocze. Wszystkie nieopłacone egzemplarze zostaną od dnia 1 (14) lipca wstrzymane.

ŻYCIE wasze, **POSAGI** dla dzieci, **UBEZPIECZAJCIE**

w jednym **POLSKIM**, opartem na wzajemności, T-wie Ubezpieczeń na taniach i dogodnych warunkach

„PRZEZORNOSC”

Ubezpieczenia mogą być zawierane już od Rb. 100 aż do 300 tysięcy. Składka miesięczna od 17 kopiejek. Z sumy przeznaczanej na dywidendę ubezpieczeni otrzymują 70%. Wszelkich informacji szczegółów udziela bezpłatnie Biuro Główna Reprezentacji na Litwie Zmudz i Śni: WILNO, Botaniczna 1.

Zarząd: Okręg. JÓZEF KOROLEC. Poszukiwani są agenci.

DEOTYMA (Jadwiga Łuszczewska).

Panienka z okienka.

Starodawny romansik.

(Ciąg dalszy).

— Kiedy — rozmyślał — mogłem sobie darować jeden dzionek, to mogę sobie pozwolić jeszcze jaką trzydniówkę, albo, dla okrągłości, choćby i całą niedzielę. Za jeden marny tydzień przecie mi pan ociec głowy nie zdejmie z karku?

Odezwał się więc w następne słowa do mieszkańców Bursztynowego Domu:

— Zreflektował ja się. Po co mi dwa razy nawigować wedle całej Wisły? Wysłałem ja do pana miecznika pisanie, gdzie mu wyluszczam, wszelakie cyrkumstancje co do fatów panny Hedwigi. Jeśli tedy — jako mam sperandę — moje dorozumienia okażą się czystą veritas, wonczas tuszę sobie, iż nie ja będę jechał doma, jeno sam pan ociec tu przyjedzie, dla zrekonoskowania wdzięcznej córki, zaczem wszyscy razem będziemy mogli uczcić pana konzula, jako jej salvatora, i nacieszyć się sobą, jako jedna familja.

Słowa te zostały przez wszystkich bardzo mile przyjęte; i rzeczywiście, na trzeci dzień, pan Kaźmierz napisał do ojca, z tą wszakże różnicą, że w liście nie wspominał ani słowa o Hedwidze, tylko tłumaczył się jakimiś trudnościami wojskowemi, które opóźniły jego wyjazd; było też w tych słowach i trochę prawdy, bo przy dobrej woli znalazły się pewne niedokładności w ukończeniu służby, które teraz, na wielkie zbudowanie swoich zwierzchników, tknięty nagłą sumiennością pan porucznik chciał koniecznie najrzetelniej dopełnić.

* * *

Tak usprawiedliwiwszy się we własnych oczach, Kaźmierz zaczął żyć z dnia na dzień, w tem czarodziejskiem odurzeniu, co nie chce nic przewidywać, co gotowe jest przyjąć wyrok śmierci na jutro, byle dziś jeszcze nie stracić swego raju. Dziwił się tylko, jak mógł dwadzieścia kilka lat przeżyć na ziemi bez Hedwigi? Jak mógł kiedykolwiek spoglądać na inne białogłowy? A spoglądał... ach, tyle razy! Tak — ale dawniejsze jego spojrzenia nie były podobne do dzisiejszych; dawniej ciskał tylko iskrami oczu, a dzisiaj płomieniami serca. Dawniej wszystkie kobiety (byłe ładne) miały dla niego równą wartość; dzisiaj czuł, widział i wiedział, że ta jedna, to jest właśnie owa jedyna, która w księgach niebieskich została dla niego przed wiekami zapisana, darowana, słowem — tak jak śmierć — przeznaczona.

Ta pierwsza prawdziwa miłość promieniowała z jego serca niby pierścień ognisty, pod któ-

rego upalnością i serce ukochanej topniało, jak rosa pod słońcem. Z początku przekonana, że to jest nieznane jej dotąd uczucie siostry dla brata, Hedwiga nie broniła się wcale od nowych, upajających wrażeń; jednakże po dniach kilkunastu, zaniepokojona stanem swojej duszy, już wybierała się do kościoła Dominikanów, dla zasięgnięcia rady od mądrego swego spowiednika, ojca Damiana, gdy nagle, inna spowiedź sprowadziła niespodziany przewrót w jej pojęciach.

Pan Kaźmierz — jak wiemy — w pierwszym zawiązku znajomości był rad swemu rzekomemu braterstwu; prędko mu jednak ono zaciężyło, bo, jeśli pozwalało na pewną niewinną poufałość, za to wzbraniało wszelkich półsłówki i półwyznań, zmuszało go nawet do hamowania zbyt wymowy oczu. Młody junak nie mógł długo znieść podobnych więzów i już po dwóch tygodniach je rozrwał. Stało się to bez żadnego z góry powziętego zamiaru, lecz w przystępie niecierpliwości. Widząc u Hedwigi coraz większe zdumienie nad jego dziwnym zachowaniem się względem „siostry“, wyznał jej nagle, bez ogródki, że nie jest jej bratem, a na poparcie swojego twierdzenia dodał:

— Wiem to dokumentnie, bom nakoniec dostał ów respons, gdzie pan ociec remomeruje mi, jako Krysia miała rok czwarty, kiedy ją poganie unieśli. Tedy, wedle daty, Waćpanna nie możesz na żaden fason być mi siostrą, i ja temu jestem bardzo rad.

Mówiąc to, wpatrywał się bacznie w Hedwigę i dostrzedł z radością, że i jej te słowa najwiśdoczniej przyniosły ulgę. Odtąd stała się nieśmielszą, ale zarazem i czulszą, przyczem zdradzała jakieś tajemnicze uszczęśliwienie, którego dawniej nigdy w niej nie dostrzegał.

Wprawdzie ta szczęśliwość była dla Hedwigi zamącona pewnym niepokojem; pan Kaźmierz prosił ją, a nawet stanowczo żądał, ażeby wiadomość o liście pana miecznika zachowała tylko dla siebie, „gdyż — mówił — niech pan konzul jeno się dowie, że my nie familja, zara będzie chciał mię od Waćpanny exulować, przyczem on albo ja możemy położyć głowę“.

Prawa dusza Hedwigi wzdrygnęła się na taką nieszczerłość; mniej wszakże, niż byłaby się wzdygała dawniej. Gdyby pan majster był pozostał dla niej na zawsze niczem innym, tylko jej ojcowskim, szanownym opiekunem, byłaby pewnie odrzuciła żądanie pana Kaźmierza. Ale od chwili, gdy opiekun zaliczył się do zalotników, stracił niezmiernie w jej oczach na powadze i zrównał się niejako z Kaźmierzem, przyczem wszakże zachodziła ta wielka różnica na jego niekorzyść, że nie był kochany, podczas kiedy tamten... ach tamten!

Skoro jeszcze Hedwiga wspomniała, że takie wyznanie mogłoby istotnie rozdzielić ją z najmiśszym, a co więcej, stać się powodem ciężkich,

może krwawych zatargów, przytłumiła szemrania swojej duszy i zachowała milczenie wobec pana rajcy, który ze zdumiewającym spokojem niczego się nie domyślał.

Źródłem tej niedomyślności była potężna miłość własna. Pan Johan Schultz miał przekonanie, że gdy obdarzy Hedwigę swoją wspaniałą osobą, swoim nazwiskiem wielce w Gdańsku cenionem, swoją sławą kunsz mistrzowską i swojemi wielkimi bogactwami, wyświadczy jej najwyższe dobrodziejstwo, i nie przypuszczał, aby kiedykolwiek mogła kogokolwiek nad niego przełożyć. To przekonanie zaślepiało go tak mocno, że patrzył a nie widział, słuchał, a nie słyszał, i gdy już cały Gdańsk — przyglądający się zalotom porucznika — z uśmiechem mówił o jego „braterstwie“, jeden pan rajca nie miał ani cienia wątpliwości, codzień zapytywał o „respons“ pana miecznika, źle i wróżącego Korneliusa kilka razy tak porządnie sfukał, że i jemu w końcu zamknął usta.

Kornelius jednak trwał w swoich złych przeczuciach. U niego miłość, pozbawiona próżności, nie sprawiała zaślepienia, lecz owszem jasnowidzenie prawdy.

Miłość ta dawno już w sercu jego rosła. Za życia pani Doroty karmił się nadzieją, że może kiedyś potrafi sobie wysłużyć tę śliczną panienkę, która w oczach jego coraz nowymi wdziękami rozkwitała.

— Czemu nie? — myślał nieraz. — Gdy zrobię mój „meister-stuck“, a będzie on taki, że cała Hanza okrzyknie się z podziwu, gdy i ja też zostanę majstrem, czemużbym nie miał otrzymać jej ręki?

Ta nadzieja dodawała mu sił do pracy, rozbudzała jego zdolności, przywiązywała go do majstra Schultza i cały ten dom czyniła dla niego Edenem.

Nagle — zrobił straszliwe odkrycie.

Po śmierci pani Doroty spostrzegł, że sam pan majster chce zająć marzone przez niego miejsce.

Wpadł w rozpacz — zniemawidził swego zwierzchnika — jednakże jeszcze się z nim nie rozstał.

Miłość jego stała się beznadziejna i posępna, a jednak jeszcze podszeptowała mu jakieś półsłówka, na które złośliwie się uśmiechał. Wiedział, że Hedwiga w związku z panem Schultzem nie może być szczęśliwą, a zatem — kto wie? Może jemu przypadnie udział pocieszyciela? Dawno znajomy, zawsze pod jej ręką — a przytem tak wiernie, tak szalenie zakochany — on może prędzej, niż inny... Nie będzie to już takie wielkie szczęście, jak posiadanie jej dozgonne, ale — i kradziony skarb zawsze skarbem, — a przytem co za rozkoszna zemsta nad tym niegodziwcem panem Schultzem!

Znienacka, wśród owych, już zachmurzonych, ale jeszcze przyjemnych marzeń, jak piorun z nieba, spadło zjawienie się pana Kaźmierza — i na ten raz Kornelius uczył, że gmach jego przyszłość

ci już do podwalin się rysuje, że to nieprzyjaciel stokroć groźniejszy od majstra Johanna, bo tamten zabierał tylko rękę Hedwigi, a ten wykrada mu jej serce. O tak, wykradał Kornelius od pierwszej chwili spostrzegł olśniewające wrażenie, jakie młody junak spawił na Hedwidze, i odtąd codzień dopatrywał nowe objawy budzącego się w niej uczucia, nagle rumieńce, smętne zadumania i niespodziane wybuchy radości — wszystkie owe znaki sercowego rozkwitu, na które on tak dawno czekał, a które teraz, niestety! zwracały się nie ku nimu, ale ku temu posłowi nieszczęścia! Och, on się znał na miłości, on, co tak dawno i zawzięcie kochał! To też nie mógł zrozumieć spokoju pana majstra, trząsł się zgrozy na jego zaślepienie, chciał mu oczy otworzyć, i byłby w końcu pewnie dopiął celu gdyby nie pani Flora, która ze zwykłą sobie przenikliwością dostrzegła niebezpieczeństwo, jakie od tej strony zagraża, i zażegnała je machiawelskiem orzeczeniem: „Divide et impera“. Zaczęła pana majstra podjudzać na Korneliusa. W każdej niemal rozmowie dziwiła się, „dlaczego tak znaczny jak on personat postponuje się ze swoim czeladnikiem i pozwala mu nos wtykać w domowe sękreta?“

Pan majster (który miał słabość do pani Florę i wielce sobie cenil jej zdanie), polechtany zaczął lekceważyć Holendra, zaprzestał z nim żartów i zwierzeń, i tak go zwolna od siebie odsunął, że chłopiec, karmiony ze wszech stron upokorzeniami, zaciął się w milczeniu i już prawie wcale nie wychodził z warsztatu.

Nietylko pod tym względem, ale i pod wszelkimi innymi, pani Flora stała się istnym duchem opiekuńczym dla dwojga zakochanych, którzy, nie podejrzewając, aby piękna wdówka mogła w tej opiece mieć jakie osobiste widoki, nie znajdowali dla niej dosyć słów dziękczynnych i z pełnem zaufaniem otwierali jej duszę. Pani Flora była nieprzebraną „w amorowych fortelach“. Z dziwną sztuką umiała zagadywać i sobą wyłącznie zajmować pana Schultza, dzięki czemu tamci mogli wedle woli rozmawiać na uboczu. Hedwidze powtarzała jak najwierniej pochwały i wykrzykniki, z jakimi Kaźmierz odzywał się o niej, a Kaźmierza wtajemniczała w najskrytsze zwierzenia panięńskie. Czasem nawet rzeczy tak zgrabnie ułożyła, że ni by trafem schodzili się w jej domu, a chociaż te schadzki były krótkie, poważne i zawsze pod jej okiem odbywane, jednak przedstawiały dla nich nieocenioną chwilę swobody, w której, uwolnieni od oczu majstra i Holendra, mogli nakoniec odwiązać maskę przybranego braterstwa. Bo i pani Flora już razem z niemi śmiała się z owej „maszkarady“. Pan Kaźmierz nie potrzebował nawet czynić jej w tym przedmiocie żadnych wyznań, sama je uprzedziła.

(c. d. n.)

ANTONINA SADOWSKA.

Siedem gwiazd.

Poszły rachować gwiazdy.

Krysia czarnobrewa, Mania jasnowłosa, Ira o, płomienistych splotach i Hala niebieskooka. A wiosna zarzuciła na ziemię swój płaszcz ukwiecony.

Więc rozpachniona tysiącem woni, nabrzmiała namiętami szeptami, rozdzwoniona śpiewem słowików, usrebrzona promieniami księżycy, dyszała w miłosnem upojeniu, iście majowa, pełna czarów noc.

Trzymając się za ręce, dziewczyny biegły prosto przed siebie, niby rozbawione a jednak poważne, niby niedowierzające a jednak ciekawe.

Bo cyganka powiedziała tak:

„Chcesz li wyjść za męża, to rachuj codziennie, przez siedem wieczorów z rzędu, po siedem gwiazd na niebie, a pierwszy mężczyzna, któremu potem podasz rękę, zostanie twoim mężem“.

A był to właśnie ten ostatni najważniejszy siódmy dzień.

Więc minawszy różnokolorowe klomby oraz jasnozielone kępy drzew, dziewczyny zatrzymały się tylko na dwóch w tak zwanej „alei marzeń“.

Krysia przysiadła na ławce i oznajmiła:

— Czy wiecie — mam wielką ochotę już przerwać te gusa.

— Jakto? dziś? — obruszyła się Mania.

— Nie wiercie jej, przecież ona zawsze wszystko i wszystkim robi na przekór. Ale to nie dobrze, bo tacy przekorni ludzie, najwięcej sobie szkodzą — ostrzegła rozsądna Hala.

— E... e... e... nie obawiam się niczego.

— Oczywiście: przebierasz w konkurentach jak w ulęgałkach? prawda? — wtrąciła zjadliwie Ira.

— A jakże! I doskonale się bawię...

— Bo Krysia jest śliczna, więc może grymasić i taka dobra — broniła Hala przyjaciółkę.

— No... i bardzo bogata!... — sarknęła Ira.

— Tak!.. I właśnie dla tego nie wierzę żadnemu mężczyźnie. Kochają mój posąg... przedewszystkiem!

— Czy i pan Stefan?.. — badała Ira.

... Pan Stefan!.. — i przemknął cień rozmarzenia w czarnych oczach dziewczyny, a na drobnych ustach osiadł zagadkowy uśmiech.

Ale Mania, nagle szkarłatem oblana, chcąc widać odwrócić od siebie uwagę towarzyszek i nie zdradzić, głęboko w sercu ukrytej tajemnicy, nawoływała:

— No chodźmy już! chodźmy!..

Wyszły na polankę — niby cztery białe posągi,

stały z wzniesionymi w górę oczami, rachując gwiazdy.

— Ach! — wyrwało się nagle z ust Hali — moja ostatnia gwiazda spadła!..

To szczęście... Albo rachuj od początku — radziły przyjaciółki.

Ale zasmucona dziewczyna opuściła głowę.

— Kiedy... widzicie... mnie to już trzeci raz spotyka. Moja gwiazda gdzieś odemnie ucieka!..

— Dajże pokój!.. nie bierz do serca takiego głupstwa! przecież to przesady!.. — tłumaczyła Krysia i, objawszy w pół wiotką postać Hali, tuliła ją do siebie.

— No... a teraz wracajmy do domu i uwaga! bacność! a jeżeli spotkany kawaler niestosowny do stanu małżeńskiego, to rączki w tył!.. Bo można się grubo złapać.

Wtem, gdzieś w dali odezwały się skrzypce.

Ira stanęła jak wryta.

— Czy słyszycie? Pan Zygmunt przyjechał!

— Jak zwykle. Do żony na niedzielę, więc nie trzeba im przeszkadzać.

Lecz Ira, widać nie dosłyszała upomnienia i pędem wybiegłszy z parku, zatrzymała się przy małej, w cierniu ukrytej willi.

Obramowane dzikiem winem okno, było otwarte, więc zajrzała do środka.

W głębi pokoju znajdowało się dwóch mężczyzn. Jeden odwrócony tyłem siedział wyczekująco przy pianinie, drugi stał nieco z boku i stroił skrzypce.

Dość wysoki, o bujnych czarnych włosach, wodził wokoło zniechęconym wzrokiem i smutno się uśmiechał.

Nagle oczy jego spotkały się z zielonemi oczami stojącej w oknie dziewczyny i wnet załkały struny i szła cicha, żalosa o wielkich zawodach opowieść... A potem coś niby pytanie i lęk, obawa i znów pytanie i prośba błagalna, zakłęcia... Aż nagle padło wyznanie... „Kocham!.. kocham“!.. i drżą struny i potężnieje pieśń pełna radości... I niby mięką pieszczotą muska ręka artysty rozśpiewane, przecuciem wielkiego szczęścia drgające struny...

Skończył... jak zahipnotyzowany zbliżył się do okna i utopił rozmarzone spojrzenie w mieniących się oczach dziewczyny, więc choć pieśń skończyła, trwa jeszcze w rozchyłonych ustach, przyspieszonym biciu serc i splecionych miłosnem upojeniem rąk, tych dwojga...

Czyżby Ira już zapomniała o wróżbie gwiazdzistej?..

... ..

— Ta Ira, to warjatka — irytowała się Krysia — poleciała tam nie wiedzieć po co? i na co?

— Lubi muzykę — łagodziła Hala.

— E! taka to i melomanka! Na koncercie się nudzi, fortynami ani ruszy...

Lecz Hala żegnała towarzyszkę.

— Muszę wracać do domu. Mamuśka może być o mnie niespokojna.

— Przecież wie, że jesteś z nami. Oj ty! ty! dzieciaku! Kiedyż nareszcie będziesz dorosłą panną?

— Nie wiem — szepnęła Hala dziwnie zniechęconym głosem i odeszła.

— Aż żal patrzeć — mówiła Krysia — Bo to żadnej samodzielności w tej dziewczynie. Zahukana przez t. zw. „mamuśkę“.

— I taka blada, wątpła...

— Bagatela! Przecież nie używa żadnych sportów! A bardzo by się jej przydała ślizgawka, tenis, konna jazda. A ona co? Dłubie robótki, pilnując niby to chorą matkę. Wstrętna baba! Przeszłość miała podobno wielce burzliwą, a teraz rżnie w karty, bo mówi, że „potrzebuje rozrywki“. A Hala siedzi w domu i czeka żeby „mamuśce“ pomódz się rozebrać!..

— A jednak ja Hali zazdroszczę. Ma o kim pamiętać — szepnęła Mania.

— Przecież i ty masz brata.

— O! to zupełnie co innego. Zresztą Rys pewno się niedługo ożeni...

— A ty wyjdiesz za męża.

— Ja? Nigdy! nigdy!.. — zaprzeczyła gwałtownie i znów oblała się szkarłatem.

Ale jak wszystkie dziewczyny wychowane bez matki, Mania nie była skłonna do zwierzeń, więc Krysia przestała badać przyjaciółkę i szły obok siebie w milczeniu.

Wokoło cisza, tylko żaby kumoszki rechotały gdzieś w dali, a słowik, wieczny kochanek, zawodził miłosne trele, zaś księżyc stary lubieżnik, ująwszy ziemię w chłodne, świetlne ramiona, zapuszczał ciekawe promienie wśród głębin, to znów muskał śnieżnie białe lilje, drobnutkie niezapominajki i otulał drżącą osikę i wiecznie płaczącą wierzbę.

— Co za noc! co za noc! — szepnęła Krysia, co za nastrój! Doprawdy, że gdyby mi się dziś ktoś oświadczył, przyjąłabym go... bez namysłu.

— Ale kogo? — pytała Mania, cichym nieco drżącym głosem.

— Czy ja wiem?... — i rozmarzona, w przystępie szczerości chciała opowiedzieć przyjaciółce, że jednak jest ktoś, na czyj widok serce jej bije szybko... silnie... i radaby widzieć go przy sobie ciągle, zawsze... i uśmiechała się radośnie, a w oczach błyskało szczęście przecucia.

Ale Mania szarpana niepewnością, niecierpliwa i pełna niepokoju, szepnęła:

— Ja wiem... ty myślisz o panu Stefanie —

prawda? — i pobladły wargi dziewczyny, a na gładkim czole osiadła chmura.

Lecz Krysia zachnęła się i odrzuciwszy w tył głowę, zaprzeczyła ze zwykłą sobie przekorą.

— Ja? o nim? wcale! Zresztą nie mam zamiaru wyjść zamaż. Przynajmniej teraz. Po co się oddawać w niewolę?... Ale oto już i willa „księżycowa“, wstąp do mnie, proszę, choć na chwilę, moja droga, moja złota — i przemocą zabrała ze sobą przyjaciółkę.

Zajęta kładzeniem passjansów, matka Krysi oznajmiła:

— Był tu pan Stefan aż trzy razy...

Coś niby radosny uśmiech przemknął po ślicznych ustach dziewczyny, lecz głos brzmiał na pozor chłodno i obojętnie gdy odpowiedziała.

— Był? aż trzy razy? No, to przyjdzie i czwarty. A czego właściwie chciał?

— Nie wiem. Przecież nie lubisz, żebym się do twoich spraw wtrącała. Lecz słyszę kroki, to pewnie on...

W progu stanął wysoki, o niskim, upartem czole i dużych, piwnych oczach szatyn.

— Dobry wieczór paniom...

Ale zwinna jak kotka, Krysia już stała na krześle, udając że czegoś szuka na półce, a przez jej swawolną główkę przemknęła myśl: — nie podam mu ręki... nie podam... na przekór gwiazdom... przesądom... — nie śmiała dodać: i na przekór sobie...

Była tak pewną jego miłości!

— Dobry wieczór pani, panno Krystyno... — wyciągnął rękę.

Udała, że nie widzi.

— Dobry wieczór. Zastaje mnie pan bardzo zajęta, wybieram książkę dla mamy.

— Dla mnie? po co?..

— Na jutro. Przecież wyjadę na cały dzień..

— Właśnie przychodzę w kwestji tej jutrzejszej wycieczki — wtrącił Stefan. Siwą klacz już dla pani zamówiłem...

— Dziękuję panu. Ale się rozmyśliłam. Nie pojedę konno.

— Więc brekiem?

— Także nie. Łódką. Taką maleńką, na jedną osobę.

— Ależ to szaleństwo. Nie zna pani rzeki, można wpaść na wir!..

— Krysiu... dziecko... — niepokoiła się matka.

Rozdrażniona dziewczyna spojrzała wyzywająco.

— Nie obawiam się niczego. A pan, panie Stefanie nie lubi łódki? — prawda?

— Tak, lecz gotów jestem pani towarzyszyć. Tylko że nieszczęśliwie wiosłuję...

(C. d. n.)